Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 13. Listopada 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 46.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6 m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK
OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET
przez
ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

— Ale o mnie nie ma co i mówić. Moje wszystko już przeszło i zresztą, ja jeżeli nie wyszłam za mąż, to dla tego, że nic stosownego nie zdarzyło się, a niestosownie wyjść byłoby dla mnie z ubliżeniem... Mama wpoiła we mnie zasady odpowiednie urodzeniu memu, i żebym nawet dziś o lat dwadzieścia odmłodniała, nie rozminęłabym się z niemi za nic w świecie... żeby tam nie wiem co... Ty, co innego, twój ojciec był urzędnikiem, twoja matka jest córką urzędnika, dla ciebie, dajmy na to, że nie zupełnie stosownie, ale zawsze z mniejszem ubliżeniem wyjść za takiego...

Urwała i bliżej jeszcze przysuwając się szepnęła.

— Wiesz co? że on nawet przystojny...

— On musi być... bardzo dobry — w zamyśleniu wymówiła Brygida.

— Czy już oświadczył się tobie? powiedz, no powiedz, koteczko!

Aż drżała z ciekawości.

— Oświadczył się.

— Kiedy? kiedy?

— Dziś w południe... spotkaliśmy się w mieście, kiedy bieliznę do magla niosłam.

— Jakże to było? złociutka moja! jakże to było? co on ci mówił? co ty jemu...

— Już ja tobie pewnie opowiadać tego nie będę — porywczo odfuknęła Brygida; po chwili milczenia dodała:

— Domek swój ma... w Młynowie...

— To o sześć mil ztąd... takie małe miasteczko... a długoż on tu będzie jeszcze...

— Do jesieni, póki roboty około kamienicy nie skończą się. Przy domku jest kawał placu i spory ogród...

— Oho! — zadziwiła się Rozalia.

— Stara matka z nim mieszka... staruszka, jak on mówi, siwiuteńka jak gołąbka. Dwie krowy trzymają, konia, ptactwo rozmaite i trochę nawet różnego zboża sieją.

— No to i dostatek sobie jest.

— Jak na taki stan, to dostatek.

— Ogrodybyś sadziła i usiewała.

— O jakbym sadziła i usiewała! Silna jestem i taką pracę najlepiej lubię... swoje zresztą! Co to jest; drzewko jakieś zasadzić, rośnie to co roku wyżej... człowiek robi się starszy i drzewo coraz wyższe... własną ręką posadzone niby własne dziecko! Albo zwierzęta swoje mieć... ja Wilczka tak lubię, choć on nie mój... Karmiłabym, doglądałabym i pieściła... wszystko byłoby u mnie wypasione, zdrowe, szczęśliwe... A mieszkanie! żeby niewiem jak ubogie, jakby mi nikt nieporządków nie robił, czyste byłoby i ślicznitkie jak raik. Fortepianów nie trzeba, ani kanapek, Bóg wie jakich, ani żadnych kwiatków do kożuchów przypinanych. Ubogo to ubogo ale czysto i zieloności w domu powinno być dużo, aby zimową porą wesoło było...

Rozmarzyła się. Głos jej stał się pełnym uśmiechów.

— Czy on umie czytać? — nagle zapytała Rozalia.

— Umie; widziałam w kościele jak na książce do nabożeństwa modlił się.

— A pisać umie?

— Nie wiem.

— Aj, aj, aj! — jęknęła Rozalia — coby to na to pani radczyni powiedziała!

Brygida spoępniała znowu.... Otóż to! — rzekła krótko i z goryczą dodała; — gruszki na wierzbie!

Rozalia zerwała się.

— Aj! — zawołała — ja tu zagadałam się a mama tam... pójdę, zobaczę, może już chce do domu wracać! O! jak pięknie walca grają!

Dźwięki rzewnego walca, oddalonem echem dochodziły do ciemnego kąta dziedzińca.

— Zaczekaj, zaczekaj—przytrzymując towarzyszkę za suknię, zawołała Brygida; — chciałam ciebie zapytać się... ty umiesz sny tłómaczyć. Śniły mi się dziś paciorki, takie różnokolorowe... przesypywałam je, a potem nizałam na nitkę... co to znaczy?

— Paciorki — z zamyśleniem odrzekła Rozalia... różnokolorowe paciorki... Żebyś perły śniła, same tylko białe perły, to byłaby wesołość, tańce czy coś takiego... ale paciorki różnokolorowe, to łzy... jak amen w pacierzu, łzy... A mnie śniło się wczoraj, że czesałam się przed lustrem i miałam dużo siwych włosów... obudziwszy się: myślę sobie: zmartwienie jakieś będzie... Ot i jak raz: Staś był dziś u was, a u nas nie był... tak mię to zabolało, że ledwie przed mamą od łez wstrzymałam się... Ale co tam z mamą... adieu... do widzenia...

Odbiegła szybko, a Brygida wymówiła do siebie: — Łzy wyśniłam... o łzy! to ze wszystkiego na świecie najpewniejsze...

Mówiąc to, wstała i miała już wejść do mieszkania, gdy o parę kroków za nią, ozwał się głos męzki.

— Dobry wieczór, panno Brygido!

W zmroku zarysowała się postać urodziwego mężczyzny, w mieszczańskiem ubraniu, złożonem z grubego surduta i wysokich butów. Z twarzy, widać było tylko długie i bujne wąsy.

— Dobry wieczór — odpowiedziała

i na progu mieszkania, plecami o ścianę oparta, stanęła.

Przybyły zbliżył się jeszcze i stanął u samych wschodków.

— Niech panna Brygida nie gniewa się — zaczął — że o takiej późnej porze przyszedłem... Posłyszałem, że na dziedzińcu gwarno i pomyślałem, że może panią jeszcze spotkam.

Milczała.

— Strasznie mi smutno i niecierpliwie koło serca — mówił dalej; — takbym chciał wiedzieć, czy panna Brygida nie gniewa się na mnie za to, com pani tam... dziś powiedział... Czy nie obraziłem czasem...

Milczała jeszcze chwilę, a potem dziwnie łagodnym i poważnym głosem odpowiedziała:

— Ja panu jestem bardzo wdzięczną...

Uczynił ruch pełen radości i razem zdziwienia.

— Za co tu wdzięczność! — zawołał. — Ja na pannę Brygidę od dwóch miesięcy co dzień patrzę i najpierw zacząłem panią bardzo szanować i cenić... a potem takie mię kochanie wzięło...

Ona, tym samym co wprzódy głosem wymówiła.

— Ja panu wdzięczną jestem... bo to pierwszy raz w mojem życiu...

— To niechże się pani zdecyduje! po co zwlekać! — zawołał; — ja gotów do ołtarza, choćby jutro...

Wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie mogę jeszcze — odpowiedziała.

Milczał chwilę.

— No rozumiem, rozumiem — rzekł; — matkę przygotować trzeba i uprosić, a do tego i samej przyzwyczaić się do myśli, że pańska córka z takim jak ja...

— Nie! nie! — zawołała gwałtownie.

On zrozumiał znać, że krótkim wykrzyknikiem zaprzeczała temu, iż jej oswajać się trzeba było z myślą o *takim* jak on człowieku. Wziął rękę jej i zamknął ją w obu swych dłoniach.

— Rozumiem — rzekł — dziękuję. Nie będę nastawał, ani pytał się o nic. Będę czekał. Wszystko jedno... muszę jeszcze ze dwa miesiące w Ongrodzie przebyć, dopóki kamienicy nie skończę... podjąłem się i robotników aż do jesieni nająłem... Będę cierpliwie czekał.

Teraz ona szepnęła.

— Dziękuję.

Chciała odebrać mu rękę swoją, ale on jej nie puścił i zlekka głaszcząc ją dłonią — mówił z cicha.

— Dobra rączka! kochana rączka... silna i pracy nie wstydząca się... żeby to ona mogła być moją... żebym ją mógł mojej siwej gołąbeczce w stare ręce włożyć i powiedzieć: przywiozłem tobie matko synowę!... masz, czego tak żądałaś... i wnuki będą...

Tym razem, coś jakby łkanie ozwało się w piersi kobiety, nieruchomo wciąż pod ścianą domu stojącej, a ręka jej, ta »dobra i pracy nie wstydząca się ręka« objęła dłoń mężczyzny silnym i długim uściskiem.

— Dobranoc! — do widzenia! — szepnęła szybko i znikła w ciemnych sionkach mieszkania.

Kiedy światło rozniecsonej przez nią lampki na twarz jej upadło, poznać można było jak silnie i do głębi była wzruszona. Wzruszenie to, szczególny blask nadało jej piękności. Wielkie, czarne oczy jej gorzały z za łez, krucze włosy opadały na wypogodzone, promieniejące czoło.

Była szanowaną i kochaną. Głowę podnosiła dumnym ruchem a usta jej, purpurą zaszłe, rozwierały się w pełnym czułości i słodyczy uśmiechu.

W dobrą godzinę potem, p. Emma wracając do domu, znalazła córkę swą siedzącą przy lampce i pilnie zajętą naprawianiem jej bielizny. Zdyszana i nadzwyczaj ożywiona, zdjęła szal i mantylkę i zaczęła prędkim krokiem przebiegać pokój. Przytem, z żywemi gestami i rozbłysłym wzrokiem mówiła:

— Śliczny wieczorek! mówię ci, śliczny! Jacy to mili ludzie ci Roliccy! jak umieją gości przyjmować! U nas nawet, za życia nieboszczyka ojca twego, lepiej już nie bywało. Oświetlenie w salonach bardzo dostateczne, lokaje ciągle coś roznoszą... to herbatę, to cukry, to owoce bardzo ładne... doskonałe... ach! ja lubię owoce! doskonałe owoce roznosili... Sama Rolicka ubrana z wielkim gustem, w czarnej aksamitnej sukni, pod szyję, a inne panie, po większej części dekoltowane i w kwiatach... W jadalnej sali jeden kąt ubrany kwitnącemi roślinami, które prześlicznie pachną...

Nie podnosząc oczu z nad roboty Brygida ozwała się:

— Czy mama przez zamknięte okno zapach ten czuła?

Nie dosłyszała ironii w głosie córki, a nawet słów jej nie zrozumiała.

— Co? — zapytała z roztargnieniem — co mówisz?

I nie czekając odpowiedzi, znowu mówić zaczęła.

Opowiadała, że Staś Żyrewicz ślicznie tańczył, do tańca brał najczęściej marszałkówny Korzyckie, które były ubrane w różowych tarletanach, a raz usiadł przy oknie, spostrzegł twarz jej za szybą i serdecznie mrugnął ku niej na powitanie. Zdaje się nawet, że powiedział zcicha: dobry wieczór stryjeneczce! ale nie była zupełnie pewną i bardzo, bardzo chciałaby wiedzieć: czy powiedział to naprawdę, czy też tak jej się tylko wydawało.

Nożyczki Brygidy z wielkim stukiem upadły na ziemię. Brzęk ich wyrwał p. Emmę z powodzi rozkosznych wspomnień. Stanęła pośrodku pokoju.

— A ty — ani na moment nie poszłaś popatrzeć? — zapytała.

— Nie, mamo — ani na moment, coraz zawzięciej szyjąc, krótko odpowiedziała.

— Dla czego?

— Bo to, co się dzieje w domu p. Rolickiego, wcale nie zajmuje mię i nie bawi.

Na rozpromienioną twarz wdowy spłynął cień niezadowolenia.

— Otóż to! — z mniejszą niż zwykle łagodnością wyrzekła — otóż to bieda, że ciebie nic szlachetniejszego, nic... wyższego nie zajmuje!

— Po co mi ta wyższość! — siląc się widocznie na spokój — odpowiedziała Brygida; — ja ani z tymi ludźmi, którzy tam byli, ani tak jak oni, nigdy żyć nie będę...

— Bo sama nie chcesz, a przynajmniej tak postępujesz, jakbyś gwałtem zamknąć sobie chciała wejście do lepszego świata! — z żalem zmięszanym z gniewem — wykrzyknęła Żyrewiczowa; — dobrze nawet, że się o tem zgadało, bo taką mam zawsze skłopotaną głowę, że zapomniałabym ci może powiedzieć... Muszę powiedzieć ci to, co zresztą tysiąc już razy mówiłam, że takie trzewiki, jak ty nosisz, są okropne, obrzydliwe, nieprzyzwoite i że w nich wyglądasz prawdziwie na prostą dziewkę.

Brygida milczała. Spojrzenie jej tylko, mimowoli jakby posunęło się ku małej nóżce matki, która, w niezbyt wykwintny, ale cienki, zgrabny bucik obuta, wysuwała się z pod falbanek okalających brzeg jej sukni. Pomyślała może, iż gdyby ona nie nosiła grubych, prostych, ciężkich trzewików, matka jej nie posiadałaby może lekkich i zgrabnych. Nie powiedziała jednak tego. Żyrewiczowa z coraz żywszemi gestami mówiła dalej:

— Alboż te krzyki i kłótnie z panną Rozalią... czy to pięknie? jest to przecież obywatelska córka i przeciwnie, powinnabyś przyjaźnić się z nią, toby cię może z jakimkolwiek porządnym domem poznajomiła... w lepszy świat by cię wprowadziła... one choć zbiedniały, ale trochę jeszcze dawnych stosunków mają. I w ogóle zresztą, głos tak podnosić jest rzeczą bardzo nieprzyzwoitą, szczególniej dla kobiety... martwisz mię tylko i nic więcej!

Brygida milczała.

Żyrewiczowa — mówiła dalej:

— Nigdy nie miałam pociechy z ciebie... byłaś zawsze upartą, zimną, skrytą, nie lubiłaś tego, co mnie było najmilsze... nie dzieliłaś ani moich tęsknot i żalów, ani moich marzeń i przyjemności... Nieszczęśliwą jestem, że w córce rodzonej, bratniej duszy nie spotkałam!

Brygida milczała. Matka jej, wzburzona bardzo, przeszła się parę razy po pokoju i jakby postanowiła wypowiedzieć dnia tego wszystko, co jej leżało na sercu, zaczęła znowu:

— Masz naturę ojca. Ojciec twój był także...

Tym razem, robota zsunęła się z kolan Brygidy, a ona sama podniosła twarz oblaną gorącym rumieńcem, z oczami, które sypały iskry. — Mamo! — zawołała, splatając ręce, nic o ojcu! proszę cię, mamo! o mnie wszystko! co chcesz, ale o ojcu... nic złego!

Żyrewiczowa zmięszała się bardzo.

— Zkądże wiesz, że ja cokolwiek złego o ojcu twoim powiedzieć chciałam? Kiedyż to ja o nim źle mówię? Ojciec twój dobry był... najlepszy w świecie... i choć usposobienia nasze nie zgadzały się z sobą zupełnie, kochał mię i uwielbiał. Ja mu też byłam wierną i przywiązaną żoną, a jak przywiązaną, widziałaś to przecież sama...

— Tak, — zwolna wymówiła Brygida — mama bardzo po ojcu płakała...

— A widzisz! o, jak płakałam! i teraz jeszcze przy każdem wspomnieniu o nim płaczę...

Istotnie, w oczach jej kręciły się łzy. Usiadła na kanapce i zaczęła rozczesywać swoje ufryzowane nioby.

— Ojciec twój — mówiła — był popędliwy, gniewał się często, a gdy rozgniewał się, mógł i grubiaństwo nawet powiedzieć... Ale mnie, nigdy to nie spotkało. Rozbrajałam go łagodnością charakteru mego. Krzyczy bywało, fuka, pięścią w stół bije, a potem popatrzy na mnie i zaczyna przepraszać, w ręce i w kolana mię całować. »U ciebie — mówił — oczy, jak u gołąbka... Kiedy widzę, że taka zalękniona stoisz i milczysz, taka mię litość jakaś ogarnia, że i gniew przechodzi!«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LORD BYRON

jego charakter i umysł

napisał

FELIKS LEWICKI.

(Dokończenie).

Bawiąc w Wenecji czas dłuższy, napisał tam Byron „Marino Faliero“, „Dwaj Foscari“, „Sardanapal,“ „Kain“, „Proroctwo Dantego“, trzecią i czwartą pieśń „Don Żuana“.

Było to w czasie (1820—1821) gdy w Neapolu wybuchło powstanie. Pisał do rządu powstańczego ofiarując swoje usługi. Gdy Ferdynand powrócił na tron Sycylijski i wszyscy, którzy udział brali w powstaniu, mieli być wydaleni z kraju, ubodzy Rawenny podali prośbę do rządu królewskiego, aby ułaskawiano Byrona. Ten człowiek bowiem pomimo sławy i niezależności swojej, najwięcej biednymi się troszczył, często pożyczał aby dać potrzebującemu.

Z Wenecji udał się do Pizy, gdzie dwa straszne ciosy spadły na niego, śmierć córki jaką miał z pewną Angielką i śmierć drogiego mu przyjaciela, o którym powyżej wspomnieliśmy, Shelleya, który utonął w podróży z Livorno do Lerici.

Z Pizy udał się Byron do Genui, gdzie widzieliśmy go w ciągu tej rozprawki. Chciał się koniecznie poświęcić dla sprawy jakiego narodu, wkrótce też trafiła mu się sposobność gdy w r. 1823 wybuchło powstanie w Grecji. Wszedł w stosunki z komitetem greckim i z końcem lipca tego roku opuścił Włochy.

Przed wyjazdem napisał na jakiejś książce, którą mu pewna osoba pożyczyła:

„Jeżeli to wszystko co o mnie mówią jest prawdą, jestem niegodnym widzieć Anglję; jeżeli zaś to wszystko co o mnie mówią jest fałszem. Anglja nie godną jest mnie widzieć“.

Aleksander Dumas pisze w swoich pamiętnikach, że lady Blessington mówiła mu, iż rozmawiając z Byronem w wilję jego odjazdu do Grecji — rzekł do niej:

— Jesteśmy dzisiaj razem, ale jutro będziemy rozłączeni i to Bóg wie na jak długo? Co do mnie, to mam coś tutaj — rękę wtedy położył na sercu — co mówi mi, że po raz ostatni się widzimy; jadę do Grecji i ztamtąd więcej nie powrócę!

Z końcem grudnia Byron wylądował w Morei i chociaż flota turecka oblegała Missolonghi, wszedł do miasta, gdzie witany został entuzjastycznemi okrzykami mieszkańców, którzy tryumfalnie odprowadzili go do domu, dla niego przeznaczonego.

Dna 15. lutego 1824 roku, dostał niezwykłej gorączki i zemdlał, jednakże przyszedłszy prędko do przytomności odbył przejażdżkę konno. W kwietniu 9. deszcz przemoczył go do nitki podczas zwykłej konnej wycieczki. W nocy miał gorączkę, spał jednakże dobrze. Nazajutrz ogromny uczuł ból głowy i cierpienia w ramionach i w nogach; po południu jednak zwykłą jak zawsze odbył przejażdżkę. Stary jego służący Fletcher, sam opowiadał Aleksandrowi Dumas szczegóły jakie od niego pożyczamy.

— Jakże zdrowie milordzie? — spytał Fletcher, gdy Byron powrócił z wycieczki.

— Siodło było wilgotne—odrzekł Byron— lękam się czy mi to nie zaszkodzi.

Nazajutrz można było dostrzedz, że w istocie był niezdrów. Silną miał gorączkę, która całą noc trwała i był bardzo osłabiony. Stary służący przyrządził mu napój ulubiony arrowroot, wziął zaledwo dwie łyżeczki i oddając resztę Fletcherowi, rzekł:

— To wyborne, ale pić już nie mogę.

Trzeciego dnia Fletcher był naprawdę zaniepokojony, Byron bowiem nie mógł w nocy zasnąć, co mu się w poprzednich słabościach nie zdarzało. Udał się do dwóch lekarzy miejskich, do Brunona i Millingena, którzy po wysłuchaniu starego służącego odrzekli, że nie ma nic niebezpiecznego. D. 14. pomimo zapewnienia doktorów, widząc, że gorączka nie opuszczała chorego — spytał się stary służący Byrona — czy nie pozwoli posłać po doktora Thomasa z Zante.

— Badaj wprzódy doktorów tutejszych — odrzekł chory – zobaczymy co powiedzą

Doktorzy odrzekli, że trzeci lekarz zupełnie był niepotrzebny. Fletcher powrócił do Byrona oznajmując mu odpowiedź lekarzy.

— Lękam się — odrzekł Byron — aby nie zrozumieli choroby mojej.

— W takim razie, niechże milord pozwoli aby trzeci lekarz przyszedł.

— Powiadają, że to katar, podobny do tych jakie miałem poprzednio — zawołał Byron nie odpowiadając na słowa Fletchera.

— Myślę znowu — odrzekł ten — że nigdy milord nie miał takiego kataru.

— I ja tak myślę — odparł Byron.

Wpadł w zadumę, z której nic go nie mogło wyrwać.

D. 15. stary kamerdyner nalegał, aby koniecznie sprowadzić doktora Thomasa, lekarze missolonghscy utrzymywali ciągle, że nic choremu nie groziło. Wieczór tego dnia lekarze zaczęli się wszelako niepokoić i chcieli krew puścić choremu, który stanowczo temu się oparł, zapytując się Millingena, czy uważa ten środek za nieodzowny. Lekarz odrzekł, że można do drugiego dnia zaczekać. Krew więc puszczono mu z prawego ramienia 16-go wieczór. Wypuszczono mu szesnaście uncji, rozpalonej krwi ciemnej. Doktor Bruno widząc to, potrząsł głową.

— Zawsze mówiłem — rzekł — że potrzeba mu krew puścić, nigdy jednak nie słuchał.

Silna wszczęła się dyskusja nad straconym czasem pomiędzy lekarzami.

Fletcher znowu nastawał, aby posłać po doktora Thomasa, lekarze odrzekli mu stanowczo, że było to niepotrzebnem.

— Zanim doktor Thomas tu przybędzie — zawołali — twój pan będzie albo zdrowszy, albo nieżywy.

Choroba wzmagała się gwałtownie; Bruno zaproponował powtórne krwi puszczenie. Fletcher oznajmił to swemu panu, który odrzekł podając ramię:

— Niech robią jak im się podoba. — Potem dodał— mówiłem ci Fletcher, że nie wiedzą na co jestem chory.

Osłabienie stawało się coraz silniejszem, dnia 17. rano puszczono mu krew raz tylko, po południu dwa razy. Za każdym razem omdlewał.

Tego dnia Byron stracił już nadzieję.

— Ne mogę spać — rzekł do Fletchera— a wiesz, że tydzień już nie śpię. Uznanem jest, że człowiek długo nie wytrzyma bez snu, dostaje obłąkania i nikt nie może go wtedy wyleczyć. Wolałbym w łeb sobie dziesięć razy palnąć, aniżeli stracić rozum. Nie boję się śmierci; z większą przytomnością ją przywitam, aniżeli sądzą.

Dnia 18. już widział, że nie wiele pozostaje mu do życia.

— Lękam się abyś ty i Tita nie zachorowali, męcząc się tak przy mnie.

Powtarzał ciągle, że lekarze z Missolonghi nic ne umieli.

— A więc — rzekł Fletcher po raz dziesiąty — pozwól milordzie, abym sprowadził Thomasa z Zante.

— Nie chodź sam, poszlij kogo... ale spiesz się...

Fletcher nie tracąc ani sekundy posłał wtedy po Thomasa i oznajmił to lekarzom.

— Bardzo dobrze uczyniłeś — odrzekli — zaczynamy sami być niespokojni.

— Czy posłałeś? — spytał Byron Fletchera gdy ten wszedł do pokoju chorego.

— Posłałem milordzie.

— To dobrze. Chcę wiedzieć co mi jest.

Po kilku chwilach, gorączka wzmogła się i znowu majaczył. Gdy się uspokoił rzekł:

— Zaczynam wierzyć, że jestem naprawdę chory. Może umrę prędzej, aniżeli się spodziewam! Pragnę ci dać pewną instrukcję; spełnisz moje zlecenia, prawda?

— Milordzie — zawołał Fletcher — wątpić nie możesz o mojem przywiązaniu. Milord jednak będzie żył dość długo, aby samemu sprawy te załatwić.

— Nie — odrzekł Byron — czuję, że już koniec. — Słuchaj więc co ci powiem.

— Milordzie! może przynieść pióra, atramentu i papieru?

— Nie, zabierze to za wiele czasu, a nie mamy go do stracenia. Słuchaj.

— Słucham milordzie.

— Twój los zapewniony.

— Milordzie! — zawołał kamerdyner zanosząc się od płaczu — pomyśl o czem ważniejszem.

— Moje dziecko drogie, moja córka Ada! Gdybym mógł ją widzieć!... Poniesiesz jej błogosławieństwo moje, poniesiesz także błogosławieństwo mojej siostrze Auguście i jej dzieciom... Pójdziesz także do lady Byron, powiedz jej...

*

powiedz jej wszystko... Ona ma w tobie zaufanie...

Głosu mu zabrakło, kamerdyner nic już słyszeć nie mógł, zaledwie uchwycił jeszcze te wyrazy:

— Będę cię prześladował po śmierci, jeśli nie spełnisz tego wszystkiego...

— Milordzie — zawołał Fletcher — ani słowa nie słyszałem...

— Boże, Boże — zawołał umierający — ale już za późno... Czy to może być, żeś nie słyszał?

— Spróbuj jeszcze raz mówić milordzie.

— Niepodobna... Niepodobna... Skończone... Zresztą zbliż się... chodź tu...

Wszelkie usiłowania były próżnemi; Fletcher mógł tylko uchwycić wyrazy bez znaczenia jak:

— Moja żona... siostra... dziecko moje... mów im o wszystkiem!...

Było to 18. kwietnia w samo południe. Doktorzy naradzali się i postanowili dać mu chininę w winie. Od ośmiu dni Byron nic w ustach nie miał, prócz trochę buljonu i trochę arrow-rootu. Zażył chininę i dał znak, że chce spać, bo nie mógł już mówić.

— Czy chce milord, abym poszedł po pana Parry? — spytał Fletcher.

— Idź — odrzekł umierający.

Niezadługo potem wszedł Fletcher z p. Parrym. Poznał go Byron i był bardzo wzruszony.

— Uspokój się — rzekł Parry.

Choremu łzy pociekły z oczów i zdawał się zasypiać. Był to początek letargu, który trwał więcej niż dwadzieścia cztery godzin.

Około godziny ósmej Fletcher usłyszał słowa następujące: były to ostatnie, jakie wymówił Byron.

— A teraz spać trzeba.

Głowa jego opadła na poduszkę i przez dwadzieścia cztery godzin ani się ruszył, chwilami tylko ciężko oddychał.

Fletcher zawołał Titę, aby mu pomogła do podniesienia głowy Byrona. Taki stan trwał do 19. do godziny szóstej wieczór.

O tej godzinie Byron otworzył oczy i zamknął je zaraz, nie objawiając żadnego bolu; był bezwładnym.

— Boże — zawołał kamerdyner — zdaje się, że milord już nie żyje.

Doktorzy zbliżyli się, wzięli go za puls i rzekli:

— Masz rację, umarł.

Dnia 22. ciało lorda Byrona odwiezione zostało do kościoła, gdzie spoczywały zwłoki Marcosa Botzarisa i jenerała Normanna. Trumna poety była z prostego drzewa, okryta czarnym całunem, na niej był kask żołnierski, szpada i wawrzynowy wieniec.

Kilka słów o dziele „Prusacy w Niemczech".

II.

Król Ludwik II. jest artystą, w rodzaju Rafaela lub Sebastjana Bacha, który przyszedł na świat bez rąk, albowiem nie tworzy nic, a żyje tylko myślą, tylko marzeniem. Zawsze odludek, król istnieje w świecie, który nie jest naszym. Patrząc na niego, gdy jak cień przesuwa się po pokojach swych gotyckich pałaców, można pomyśleć, że to jakiś duch zmarłego. Sługom zabroniono zbliżać się do niego. Gdy wezwie którego, sługa powinien zatrzymać się na dwanaście kroków, a Jego Królewska mość daje rozkazy znakami tylko. Często opera monachijska jest oświetlona, jak w dzień wielkiego przedstawienia, lecz ogłoszeń nie widać i wszystkie drzwi są zamknięte. Grają wtedy sztukę dla króla samego, który lubi sobie zrobić czasami tę przyjemność monarchy absolutnego. Gdy siedzi wśród teatru próżnego i pięknie oświetlonego, może parodjować słowa Ludwika XIV: „Bawarja, to ja." I aktorowie muszą grać tak dokrze, jak gdyby cała Bawarja patrzała na nich, bo król jest bardzo wymagającym.

Czasami jednak Ludwik II. raczy słuchać opery razem ze swym ludem, wtedy z pałacu swego Berg wyjeżdża osobnym pociągiem, przybywa do teatru osobnemi drzwiami i wchodzi do loży zakratowanej tak gęsto, jak w rozmównicach klasztornych. Częściej jednak król niechcąc się ściśniać, odbiera przedstawienie ludowi, nakazując osobnym pociągiem przywieźć aktorów już ubranych do swego pałacu. Reżyser przeprasza publiczność, a kasa zwraca pieniądze. Doskonała kolacja oczekuje artystów w pałacu Berg, a o północy zaczyna się przedstawienie. Scena jest oświetlona, a cała sala tonie w ciemności i nie ma innego widza jak Jego Królewska Mość, której nawet nie widać.

Od roku lub dwóch król oddaje pierwszeństwo francuzkiemu repertoarowi 17. wieku. On to wprowadził na scenę monachijską lekarzy Moljera i bohaterki Cornela i Rasyna. Nie wiem nawet, czy król dobrze rozumie epokę Bismarka, ale mało jest ludzi, którzyby tak dobrze rozumieli epokę Ludwika XIV. Bibljoteka królewska składa się z książek, pamiętników, romansów i komedyj owego wieku. On wie o wszystkiem, co się publikuje we Francji lub gdzie indziej o Ludwiku XIV. i jego dworze. W czasie ministerjalnego przesilenia ostatniej jesieni, król był całkowicie pogrążony w czytaniu romansów pani Dasch. Parc aux-cerfs interesował go więcej jak rada państwa. Powiadają, że król napisał komedję, w której panna Lavalliere poluje z królem. Z powodu ulewnego deszczu, kochankowie chowają się do domku węglarza. Ludwik XIV, znalazłszy jaja, gotuje jajecznicę ze słoniną dla siebie i swej kochanki. Już odbywano repetycje sztuki, gdy w ostatniej chwili Jego Królewska Mość sam osądził, że jajecznica ze słoniną nie były godne tak wielkiego króla.

Nimfy zebrane u łoża w dzień urodzenia Ludwika, dały mu wszelkie dary, z wyjątkiem umiejętności przywiązania się i pokochania kobiety. Nigdy szelest kobiecej sukni nie wstrząsnął jego sercem i nigdy w lesie nie poszedł ze śladami pięknej nóżki, zostawionemi na mchu. Miłość kobiety nie mogła zakorzenić się w duszy jego. On został najpiękniejszym i najniewinniejszym mężczyzną w całem swoim królestwie. A jednak nieraz wodzono go na pokuszenie. Wagner często nasyłał mu ładne aktorki, lecz nic nie mogło go poruszyć. Pewnego dnia rozeszła się pogłoska, że młoda śpiewaczka umiała wlać uczucie w ten posąg. Król otworzył jej sekretne wejście do parku, zaprosił do gondoli i sam kierował statkiem. Spiewaczka uwierzyła szczerze, że król ją kocha i korzystając z pięknej księżycowej nocy, chciała dowieść, że serce jej jest przepełnione także miłością. Wstała więc, zaczęła śpiewać romans jakiś, potem straciła równowagę i upadła do wody, lecz uchwyciwszy się wiosła, głosem błagalnym zaczęła wołać do króla: „O luby mój, ratuj mnie!" Król zaczął śmiać się na całe gardło; ogrodnicy przybiegli i wyciągnęli śpiewaczkę, która uciekła, przysięgając, nieco za późno, że już jej więcej nie złowią.

Trzy lub cztery lata temu, córka jednego z książąt mediatyzowanych, doznała raptem symptomatów szalonej admiracji do muzyki przyszłości. Tym sposobem zwróciła na siebie uwagę króla. Spotkania ich stawały się coraz to częstszemi; młodzi ludzie przepędzali godziny całe na sporach o estetyce i filozofii, jak niegdyś Abelard i Heloiza. Żarliwość, z jaką każde chciało uczyć jedno drugiego, dawała wielkie nadzieje; Bawarzy przymrużali oczy i uśmiechali się; powinszowania i podarunki zaczęły się sypać na młode dziewczę; dzienniki wyznaczały już czas ślubu. Wtem król przerwał te wizyty i napisał krótki bilet do swej narzeczonej: „Kuzynka moja jest najpiękniejszą i najmilszą z kobiet, lecz ja zmieniłem zamiar!"

Charakter tego oryginalnego i romantycznego króla, jest zagadką fizjologiczną. Zawraca głowy kobietom, a nigdy nie patrzy na nie. Jest to mężczyzna wysoki i pięknie zbudowany, włosy ma kędzierzawe, niegdyś wąs miał jasny, teraz uczernił go tak jak Ludwik XIV. Jest on podobny nieco do swojej kuzynki, królowej neapolitańskiej w ubiorze huzarskim. Na nieszczęście, nie mógł uniknąć choroby wspólnej wszystkim Bawarom, brzuch mu rośnie ogromnie. Wszelkie starania, aby go wepchnąć w pewne granice, za pomocą pasów i sznurówek, były naprózne; brzuch jest mocniejszy od Jego Królewskiej Mości i drwi sobie ze wszystkich tych przeszkód — jest to brzuch republikański.

PZY BLASKU KSIĘŻYCA...

W górze błękitów i świateł struga...
O! jak urocze niebios kryształy!
Oto w mgieł drżących szacie wspaniałej
Wypływa księżyc i do mnie mruga.

Czyś ty wyczytał tęsknotę duszy
Co z twoim blaskiem cicho przychodzi?
W świateł powodzi, w dźwięków powodzi
Kogoż twarz twoja blada nie wzruszy?

Ona mię wiodła w złudzeń krainę
Wciąż wyżej wabiąc z poziomów życia;
Aż oto teraz bliski rozbicia
W otchłani pragnień jak Tantal ginę...

Nademną niebios uroki drzemią,
Podemną ziemia cicho się korzy —
Jak drżące blaski wieczornej zorzy
Wiszę... pomiędzy niebem a ziemią.

Jedno i drugie z pod nóg ucieka,
Ni to ułudne czasów zjawiska
I choć-em niebu i ziemi zbliska;
Niebo dalekie, ziemia daleka...

Jasność twa srebrna, która na łące
Kwiatuszków rosę w perły przemienia,
Zdobi też w perły kwiaty... marzenia
Lecz w perły — łzami błyszczące.

St. Rossowski.

Kronika Tygodniowa.

O tegorocznej zimie naszej, można powiedzieć jak o „Figarze“, to zima jest tu, to znowu jej nie ma, bo oto po jedenastu stopniach mrozu, mamy piękne jasno-popielate błoto, którego nam nikt, nawet szanowny magistrat nie odbierze. A z zimą i z błotem łączy się zaraz myśl o nędzy i biedzie, o której wspominają pisma codzienne, a o której radzi zapomniane już Towarzystwo zeszłoroczne pod godłem „Opatrzności.“ Praktyka z ubiegłej zimy zasadzająca się na pojeniu herbatą głodnych i nagich, okazała się podobno niepraktyczną i słyszeliśmy, że na nowo odbywają się narady pod prezydencją samego pana prezydenta, jakby Towarzystwo wspomnione zorganizować na więcej racjonalnej podstawie, przez danie zajęcia ubogim żebrakom, za które mogliby choć w części mieć jakiś ciepły przytułek i łyżkę strawy. Są różne projekta, urządzenia to domu zarobkowego, to kolonji rolniczej, to wreszcie umundurowania prawdziwie biednych na wzór krakowskich pupilów stowarzyszenia ks. Skargi, z blachami na piersiach. Pierwotny zamiar organizacji stowarzyszenia dla usunięcia żebractwa na wzór stowarzyszeń szwajcarskich, gdzie zamiast wsparcia w gotówce, rozdawane są znaczki ubogim — z powodu otwartej opozycji duchowieństwa naszego, nie mógł przyjść do skutku. Trzeba więc myśleć o innych podstawach, do czego szanowny magistrat, jako obowiązany utrzymywać swoich ubogich, powinien czynnie się przyłożyć i energicznie wziąć do rzeczy, aby rzeczywiście biedni, chorzy, kaleki i starcy nie marli z głodu na ulicach bogatej stolicy kraju...

Czytelnicy gotowi się uśmiechnąć na ten wyraz *bogatej stolicy*, a jednak musi tak być, jeżeli na zapowiedziane dwa przedstawienia chudej Sary Bernhardt, już wszystkie bilety od góry do dołu są rozsprzedane, a mimo to w wielu bardzo szanownych domach panuje rozpacz, że nie można już dostać miejsca na galerji. Dlatego nie dziwcie się kochani czytelnicy, jeżeli w tych dniach nastąpi kilka samobójstw we Lwowie, jeżeli potem przez cały miesiąc pan Miłaszewski będzie miał pustki w teatrze, a wreszcie, że Towarzystwo opieki nad ubogimi nie przyjdzie do skutku, i..... na następnej licytacji niewykupionych zastawów w różnych Bankach, będzie dwa razy tyle fantów do sprzedania, niż zwykle.

A teraz powiem wam z góry, co cały ten tłum płacący szalone ceny za miejsca w teatrze zobaczy. Oto chudą jak skielet w brylanty i kosztowne suknie od Wortha z Paryża ubraną żydówkę, giestykulującą znakomicie, ale tak, że dla nas nieprzywykłych do tego rodzaju żywości ruchów Francuzek z Południa, wydawać się będzie jakby ona miała niewielkiego bzika. Ci, którzy nie władają wybornie francuskim językiem lecz posiadają go na sposób polsko-francuski — nic a nic nie z całej dykcji nie zrozumieją, — zatem zostanie im tylko zaszczytne wspomnienie, że widzieli ową głośno reklamowaną aktorkę, co sądzę dla ich godności powinno wystarczyć. Czyż za tę godność narodową nie warto zapłacić kilkanaście tysięcy guldenów? Czy to mała korzyść i zaszczyt dla kraju, jeżeli [taki lwowski gogo zapytany naiwnie przez Europę: „Byłeś pan na Sarze Bernhardt?“ będzie mógł odpowiedzieć: Byłem — Ach co to za znakomita artystka.... gieniusz! Więc jakże tu i komu tu wobec podobnego faktu mówić o biedzie, o tych weteranach z r. 1831, którzy umierają z głodu, o uczniach, którzy z braku funduszu na kupno w taniej kuchni obiadu, muszą opuszczać szkoły, o nędzy w łachmanach żebrzącej na ulicy, o sierotach trzęsących się z zimna i braku pożywienia po lochach piwnicznych, o setkach rąk bez zarobku czyhających z musu na cudzą własność. Wszak ludzi tych nie reklamują dzienniki całego świata, wszak głód ich nie ubliża godności narodowej, bo gdzież nie ma nędzarzy!.... Wreszcie Europa nie zapyta: „Dałeś pan co składki na tanie kuchnie? jesteś członkiem Stowarzyszenia dobroczynnego tego, tego i jeszcze tego? Oj próżności ludzka, oj próżności polska, kiedyż ty przyjdziesz do rozumu i przestaniesz być zakochaną w sobie. Kiedy zrozumiesz cel i przyszłość swą narodową, choćby tak jak ją pojmuje ten wyśmiewany kiedyś naród czeski, naród prostaczków podług naszego pojęcia, bo nie mający wyrobionych form salonowej elegancji... Gdy idzie o oświatę ludu, który jeden tylko może odrodzić i wzmocnić narodowość naszą — nie słyszymy nawoływań szlachetnych z obawy rozrostu surdutowego proletarjatu. Gdy idzie o postawienie pomnika pierwszorzędnemu gieniuszowi narodowemu, zbieramy się lat kilkanaście i jeszcze nie mamy funduszu odpowiedniego, — ale niech przyjedzie naprzykład komedjantka cudza, oblepiona blagą, w sukni od Wortha, — złożyć kilkanaście tysięcy guldenów, na to potrzeba kilku godzin. .... Smutno i boleśnie jest pomyśleć o tem i pomyśleć o przyszłości narodu, który sądzi, że patrjotycznemi frazesami odbuduje ojczyznę..... Więc niech nikt nie mówi nam o biedzie i upadku ekonomicznym— bo parsknąć mu w oczy; niech nikt nie mówi o rozumie i naszej dojrzałości politycznej — bo nad temi zapłakać warto!

Ot nagderał — powie nie jeden z czytelników i może ma rację. Więc żeby wam coś przyjemniejszego donieść i pokazać odwrotną stronę medalu, nie tak czarną jak pierwsza, notuję tutaj, że u nas są jeszcze ludzie ofiarni i to z klas wysokich, na które zawsze z pewną niechęcią patrzeć lubimy. Zmarły niedawno hr. Ksawery Branicki, przekonał nas, że bywa inaczej, w testamencie bowiem zapisał aż dwakroć sto tysięcy franków na ubogich miasta...... no zgadnijcie czytelnicy ?...... Paryża! Czy to nie szyk prawdziwie pański ?!

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

Właśnie w ciągu tych dwóch lat następnych, w przerwie pomiędzy dwiema sesjami zgromadzenia narodowego, zaślubił pannę Gerard. Doktor Reboux zachwycony, że wychowanicę swoją może oddać człowiekowi z taką przyszłością, jaka uśmiechała się panu Vaudrey, nie dał się długo prosić. Adrjanna podobała się Sulpicjuszowi, ona zaś czuła się szczęśliwą, że zostanie żoną człowieka młodego, dobrego i eleganckiego, który zawrócił głowę całej Grenobli, nie wyłączając nawet kontrkandydatów.

Z czarnemi oczami, błyszczącemi na ściągłej twarzy, otoczonej blond włosami i pełnym zarostem, z wysokiem czołem, o głębokiem wcięciu pomiędzy brwiami, nadającem zbyt żywemu spojrzeniu pewien odcień zadumy, Sulpicjusz rzeczywiście mógł się podobać. Nie był on pięknym mężczyzną, ani też ładnym chłopcem, ale człowiekiem miłym, ujmującym, wykwintnym, przyjemnym w towarzystwie, zapalonym entuzjastą, a przy tem wszystkiem posiadał obszerne wiadomości, umiał je zużytkować bez pedanterji — pod każdym też względem zdolny był obudzić głębokie uczucie w sercu młodego dziewczęcia. Nic więc dziwnego, że Adrjanna z radością oddała mu swą rękę, kiedy jej w imię miłości zażądał.

I znowu wszystka poezja młodości zakwitła dla tego człowieka, co wśród najgorętszej walki, porwany urokiem sielanki domowej, zapomniał o burzach wersalskich, o niepokojach politycznych, o obawach na przyszłość i o rozterkach obecnych; co umiał wyrzec się gorączkowego życia w Izbie deputowanych, pochłaniającego całą istność człowieka w nieustannej pracy, rozprawach i obowiązkach bez miary.

Vaudrey często rozmyślał, jakby o chwili świetlanej życia, o owym letnim poranku, w którym poprowadził Adrjannę do kościoła; przypominał sobie stary ten dom, pełen rozgardjaszu, krewnych w odświętnych strojach, przyjaciół, rżenie koni niecierpliwiących się przed rozwartym na rozcież przedsionkiem i sąsiadów, wyglądających z okien i chłopaków, gapiących się na ulicy — cały ów harmider wesoły, nieodłączny od każdej świątecznej uroczystości. A kiedy Adrjanna, w białej ślubnej sukni, weszła do obszernego salonu, gdzie staruszki o bufiastych rękawach, zdawały się do niej uśmiechać z portretów, było to jakby wtargnięcie złotego promienia słońca.

W mirtowym swym wianku, sprowadzonym z Paryża, wyglądała radosna, zdziwiona i zmięszana cokolwiek, jak młoda panienka przystępująca po raz pierwszy do komunji, białym osłonięta welonem. W oczach Sulpicjusza była zachwycającą. Cała zarumieniona, podeszła ku niemu i podała mu obie swe rączki, w białych ukryte rękawiczkach. On, znudzony już otaczającem go towarzystwem, mimowolnie rzucił okiem w zwierciadło i ujrzał odbitą w nim swoją postać, dziwnie niezgrabną w tej chwili i wymuszoną przez zbyt starannie zaczesane włosy. Jakże się później śmiali oboje, a zawsze ze świeżem wrażeniem, z owych drobnostek, tak rozkosznych zawsze w wspomnieniu!

Sulpicjuszowi do zupełnej radości brakowało tylko matki, która niedoczekała się już chwili, kiedy on, w obec kapłana, co uczył katechizmu Adrjannę, zbliżył się do ołtarza z zawadzającą mu świecą woskową w ręku i niezręcznie zabrał się do pocałowania patyny, podanej mu przez księdza — wypadek niezmiernej wagi dla Grenobli, że szef liberalistów, bohater ostatnich wyborów, brał ślub w kościele, jak zwykły ślepo wierzący mieszczanin!

Organy, w rzewnych dźwiękach, śpiewały jakąś pieśń uroczą, niby alleluja spływające drgającemi tony z odległych wieków obszaru... światło słoneczne, łamiąc się przez szyby okien, całemi promieniami aureoli otaczało klęczącą Adrjan-

nę, złociło jej główkę, ukrytą w dłoniach, lśniący atłas jej sukni i długą powłokę, ciągnącą się po dywanie. . . . . .

Z uroczystej tej ceremonii, przepełniającej całą świątynię, Sulpicjusz uniósł w swem sercu jakby zabalsamowane wrażenia: woń kwiatów i pieszczoty światła słonecznego, dźwięki organów i czar miłości, ogarniający go zewsząd rozkoszną obietnicą szczęścia.

Dawne to już, dalekie czasy!... Prawie już sześć lat upłynęło od dnia owego, sześć lat zaciętej walki, w której Vaudrey potykał się wytrwale, z gorącym zapałem bronił pojęć o wolności, krok za krokiem zdobywał każdą piędź ziemi, pracował wiele, prowadząc w Paryżu takie samo życie jak na prowincji, z temi samemi książkami, sprowadzonemi do mieszkania na Chaussée-d'Antin, tuż obok linii kolei żelaznej, którą codziennie rano odjeżdżał, z przykrością rozstając się z Adrjanną, aby z tem większą radością powrócić do niej wieczorem, jeśli zebrania polityczne, albo przeciągające się posiedzenia, nie zabierały mu tych słodkich wieczorów, podczas których, prawdę powiedziawszy, żył rzeczywistem życiem.

Adrjanna wychodziła mało, nie udzielała się światu wcale, unikała zgiełku, żyła w Paryżu w takiem samem spokojnem odosobnieniu jak w Grenobli, trapiąc się jedynie męczącem życiem swego męża, jego pracą, jego mowami, jakie przygotowywał z niewyczerpaną wytrwałością. Sulpicjusz zwykł był długo w noc pracować, wertując księgi, zbiory praw, lub stare roczniki parlamentarne.

Adrjannę nieraz w rozpacz wprowadzała zaciekłość, z jaką mąż jej poświęcał się pracy.

Gdyby pozwolił, chętnieby mu dopomagała, czy to pisząc za jego dyktowaniem, czy też szukając w wielkich jego foljałach potrzebnych wiadomości. Za każdym razem, kiedy Vaudrey miał wystąpić na trybunie, niezmierny strach ją przejmował. Bała się pójść słuchać go, a dowiedziawszy się, że ma przemawiać, nie miała znowu dość odwagi, aby zostać w domu. Z bijącem sercem wchodziła do galerji, przeznaczonej dla publiczności, a omal nie mdlała, kiedy przewodniczący, wśród lodowej, jak jej się wydawało, ciszy, wygłaszał sakramentalne słowa:

— Deputowany Vaudrey ma głos!

Sulpicjusz wstępował na trybunę i zaczął mówić, Adrjannie głos jego wydawał się zmienionym. Pytała się sama siebie, czy to nie obawa ścisnęła mu gardło. Nie miała odwagi spojrzeć na niego. Zdawało się jej, że w sali śmiano się, przeszkadzano, że posłowie umyślnie kaszlali, że nikt nie słuchał. Po co ona tu przyszła? O! już więcej nigdy nie przyjdzie! Czuła, że ciało jej lodowacieje. Po chwili, nagle burza oklasków, wznosiła się ku niej, jakby wybuch sympatji. Wówczas Adrjanna wstawała i oparta o balustradę galerji, przechylała się po nad głowy nagromadzonych tłumów, a spokojna i wesoła, szczęśliwa i dumna z nazwiska, jakie nosiła, spostrzegała wyprostowanego Sulpicjusza, z rękami złożonemi na krzyż lub opartemi na trybunie i poniżej fotelu, na którym siedział nieruchomie mężczyzna w białym krawacie, wznoszącego śmiało głowę i głoszącego pełną piersią swoje zasady i żądania.

Wówczas to pragnęłaby na cały głos wołać, że on do niej należy, że ona go uwielbia, że on jest dumą jej, jak ona jest weselem jego. Pragnęłaby objąć go w swe ramiona, uwiesić mu się na szyi i powtarzać w obec całego tego tłumu: „Kocham cię!“

Ale pieszczoty swoje odkładała do domowego zacisza, aby uspakajać tego entuzjastę tak często rozpaczającego, którego wszystko drażniło i denerwowało, tego wielkiego człowieka, jak go nazywano w Grenobli, a który dla niej był tylko wielkiem dzieckiem, uwielbianem i pielęgnowanem przez nią z poświęceniem wnuczki i z troskliwością matki.

Vaudrey, tymczasem, pragnący czegoś realniejszego aniżeli czcza sława, zużywając siły swoje w walkach parlamentarnych, spostrzegł, że czas mija, dzień za dniem upływa, bez żadnego widocznego postępu, ani jednym krokiem nie zbliżając go do celu. Lata po ostatniej wojnie, równie dla niego jak i dla całej współczesnej Francji, ubiegały z szaloną chyżością, tak, że zasnąwszy niejako z przeświadczeniem wewnętrznem, że przed człowiekiem trzydziestoletnim, otwarta jest cała przyszłość, zbudził się nagle, zdziwiony niezmiernie, że już ma lat czterdzieści.

Czterdzieści lat! Sulpicjusza ogarnęło mimowolnie pewne uczucie melancholii, gdy przyszło zmienić cyfrę dziesiątki i pomimo stanowiska, jakie sobie wyrobił w swojem stronnictwie, w grupach swoich przyjaciół, zniechęcony odgrywaniem ról drugorzędnych, marzył zostać czemś więcej jeszcze, zapragnął wystąpić na pierwszym planie, w pełnem świetle.

Pod względem materjalnym, pieszczony w domowem pożyciu przez Adrjannę, Sulpicjusz mógł się nazwać szczęśliwym. Ona uspakajała go, ściągała entuzjazm jego na prozaiczny poziom rzeczywistości, przestraszała się niekiedy jego drażliwością, wybuchami gniewu, a najbardziej złudzeniami jego w ocenianiu ludzi i wypadków.

Sulpicjusz wyrzucał jej często, że obcina skrzydła jego marzeniom.

— Kto, ja? — odpowiadała — ależ ja raczej obłamuję je twoim wiatrakom, mój ty Don Kiszocie ukochany!

Wówczas uśmiechał się, patrzył na nią, wzrok swój zagłębiając w prześlicznych błękitnych jej oczach, kiedy ona płonęła rumieńcem, jakby zawstydzona, że poważyła się mieć swoje zdanie.

Pragnęła ona być tylko serdeczną towarzyszką tego, jak mówiła, wyższego od niej człowieka, a wiedziona jedynie instynktem miłości, obca zupełnie intrygom politycznym, była jednak najlepszą jego, prawie jasnowidzącą doradczynią, doznając wtenczas tylko radości, kiedy, przypadkiem, Vaudrey usłuchał jej rady.

— Ja cię tak kocham! — powtarzała mu z wylaniem biednej istoty, posiadającej na całym świecie jeden tylko cel swoich uczuć, jeden przedmiot miłości.

Jemu życie takie wydawało się tylko połowicznem: młodość minęła bezpożytecznie, nadzieje się rozwiały, pozostały tylko obawy i wstręt, jakim przejmowały go niekiedy ustawiczne zmiany i szacherki polityczne. Tak, kochanemu i pieszczonemu, czegoś jeszcze brakowało do szczęścia. Chciałby mieć dziecię, syna, którego wychowując spełniłby obowiązki rodzinne, skoro sytuacja polityczna nie pozwalała mu na wykonywanie żadnego obowiązku publicznego. O tak! gdyby miał syna, istotę, którąby mógł wykształcić, sformować na podobieństwo swoje, a któraby przecież nie zaznała owych wszystkich cierpień, przez jakie on musiał przechodzić! Może być, że brakowało mu tylko dziecka; ale widocznie brakowało mu czegoś.

Pomimo to był zawsze uśmiechniętym, zawsze rozkochanym w pięknej dwudziestopięcioletniej swej żonie, szczupłej i delikatnej, nieśmiałej i naiwnej jak dziecko. Przyzwyczajona do samotności w domowem zaciszu, jeszcze gdy pozostawała u swego opiekuna, i tu, w Paryżu, porządkując w gabinecie męża książki, akta, projekta do ustaw lub sprawozdania komisyjne, starała się otoczyć ukochanego swojego Sulpicjusza wygodnym komfortem zamożnego mieszczanina, równie mile smakującym jak lampka dobrego wina, zwolna wypróżniana przy kominku.

Naraz, pewnego dnia, ciche to mieszkanie poruszyła nagła wieść o niespodzianie wynikłej zmianie politycznej.

Wieczorem przybył Sulpicjusz rozdrażniony i szczęśliwy zarazem.

Prawie powszechnie mówiono o nim, jako o należącym do nowej kombinacji ministerjalnej. Ostatnia mowa jego w kwestjach polityki wewnętrznej, wysunęła go więcej niż kiedykolwiek na pierwszy plan, i jak utrzymywano, głównie przyczyniła się do upadku gabinetu.

Minister!

Więc od dziś do jutra, mógł on zostać ministrem! Był to tryumf jego polityki.

Adwokat Collard (z Nantes), w którym upatrywano przyszłego naczelnika gabinetu, był jego serdecznym przyjacielem. W samej rzeczy — była mowa o oddaniu Sulpicjuszowi Vaudrey teki i to jednej z ważniejszych, *wielkiej teki*, jak zwykło się nazywać wydział spraw wewnętrznych lub sprawy zagraniczne, podczas gdy ministerjum oświaty, czuwające nad duchem narodu i ministerstwo rolnictwa, przemysłu i handlu, obowiązane troszczyć się o jego wyżywienie, nazywają się *tekami małemi*.

Sulpicjusz opowiadał to wszystko Adrjannie podczas obiadu, jedząc machinalnie, bez apetytu.

O godzinie ósmej miało się odbyć posiedzenie członków Izby z jego stronnictwa. Była już siódma. Śpieszył się więc.

Adrjanna zauważyła, że był niezmiernie blady. Ona niemniej czuła się wzruszoną, niby uradowaną, a przecież zaniepokojoną cokolwiek. Polityka i tak już zbyt często i na zbyt długo zabierała jej męża, że biedna samotnica zadawała sobie pytanie, czy na przyszłość nie będzie bardziej jeszcze opuszczoną i osamotnioną. Ale osobista jej troska musiała ustąpić wobec widocznego zadowolenia Sulpicjusza. Trawiła go gorączka niecierpliwego wyczekiwania. Czuł, że w życiu swem nie miał podobnej, tak stanowczej chwili.

Rozległ się głos dzwonka, czyste dźwięki jego, przerywając głębokie milczenie, odezwały się echem w sercu Vaudreya.

Na progu ukazał się służący z listem w ręku, który podał panu. Na jednym rogu koperty wypisano wielkiemi literami: „Bardzo pilno.“

Sulpicjusz poznał charakter pisma.

Był to list deputowanego Collard (z Nantes).

Treść bileciku wywołała rumieniec na lica Sulpicjusza. Szybko przebiegł go oczyma i rozpromieniony podał go żonie:

— Stało się! Przeczytaj!

Adrjanna zbladła.

Collard zawiadamiał „kolegę“, że skład no-

wego gabinetu, pod jego prezydencją, został przyjęty. Prezydent rzeczypospolitej oczekuje panów ministrów w pałacu Elizejskim. Vaudreyowi ofiarowano tekę spraw wewnętrznych.

— Jesteś ministrem! — zawołała uszczęśliwiona Adrjanna.

Vaudrey wstał od stołu i z serwetą w ręku szukał po pokoju, wołając w roztargnieniu:

— Kapelusz! palto! powóz sprowadzić!

Adrjanna ze złożonemi rękoma, w dziecięcym nieomal zachwycie, spoglądała na niego, jakby przekonana, że za chwilę nastąpi w nim przemiana zupełna. Rzeczywiście, Sulpicjusz rozkoszował się w pełnem morzu zadowolenia. Oszołomiony szczęściem, ucałował żonę raz, drugi i dziesiąty, potem wyrwał się z jej objęć i zbiegł po schodach z niecierpliwością gorączkową zakochanego młodzika, dążącego na miłosną schadzkę.

Jeszcze nie minął miodowy miesiąc polityki, kiedy zachwycony Vaudrey, na wszystko przez różowe patrzący okulary, zwiedzał z ciekawością foyer baletu. Obejmował on rządy pełen dobrych chęci i bezwzględnej wiary w siebie. Wyobrażał sobie, że zbawi świat, przekształci administrację, zniesie nadużycia.

— Trudna jest rzecz, być ministrem — mawiał z uśmiechem — ale nic łatwiejszego, jak być wielkim ministrem. Dosyć jest mieć silną wolę!

— I możność działania — kończył z pewnem szyderstwem, przyjaciel jego, Granet.

Jakto, mieć możność?! Ale czyż może być coś bardziej naturalnego, skoro Vaudrey wszelką władzę w swem ręku posiadał. Jeśli inni zawiedli oczekiwania swoich przyjaciół, to dla tego tylko, że nie mieli odwagi, nie chcieli ich zadowolnić.

Zobaczą teraz, czego on dokona! I to nie jutro, nie za miesiąc — ale zaraz — dziś!

Śmiało, ale z uprzejmością względnego despoty, wstąpił w progi ministerstwa, które zamierzał zreformować, przerobić i przekształcić i zaraz na pierwszym kroku, gorączkowa jego gorliwość, właściwa wszystkim nowicjuszom, potknęła się, nie bez pewnego zdumienia, o upór rutyny, małoduszność nieświadomości i o twardą stal niezliczonej ilości kółek, działających w owej maszynie odwiecznej, starszej od wszystkich mocarstw na świecie, a która nazywa się biórokracją.

Ba! da on sobie z nią radę. Trochę cierpliwości tylko! A zresztą, mamy czas jeszcze!

— Jakto! mamy czas? już teraz? — oponował szyderczy zawsze Granet.

Łagodne promienie owej jutrzenki, różanym blaskiem olśniewającej ambicję Sulpicjusza, spływały po części i na Adrjannę. Dzieliła ona, bez cienia nawet zarozumiałości, sukcesy swego męża, a bez względu na niezmierne zamiłowanie jej życia domowego, zmuszoną była żyć więcej na zewnątrz niż dawniej, musiała, jak się wyrażał Vaudrey, pokazywać się, a wśród pochlebnych nadskakiwań, jakich stała się przedmiotem, było to dla niej nowem źródłem radości, tem cenniejszej, że podzielanej nawpół z mężem.

Kiedy zjawiała się w jakim salonie, witał ją szmer sympatji, rozkoszny szmer przychylnego zaciekawienia. Kobiety lustrowały ją, mężczyźni tworzyli pełne szacunku koła:

— To pani Vaudrey?

— Żona ministra!

— Prześliczna!

— Taka młodziutka!

— Ma w sobie coś parafiańskiego!

— Tem więcej zachwycająca!

— To prawda! świeża jak brzoskwinia!

Uśmiechem pełnym skromności, starała się z całą szczerością zjednać sobie przebaczenie, za wysokie stanowisko, na jakie niespodzianie powołały ją zrządzenia losu. Mówiono o niej, że z równą nieśmiałością wysłuchałaby komplementu, jak pensjonarka odbierająca publiczną nagrodę. Ze względu na maleńkie, arystokratyczne rączki, przebaczano jej, że ośmieliła się zachować swoje rumieńce. Wcale już „nie raziła Grenoblą“, a ludzie uchodzący za dowcipnych, nazywali ją „najpiękniejszą córką Delfinatu“.

Tylko przekonanie, że mąż wydaje się szczęśliwym, pozwoliło Adrjannie cieszyć się obecną zmianą losu. Sama dla siebie nie miała ona żadnych pragnień przewodzenia. Po większej części, skazana na osamotnienie w pustych a zbytkownych apartamentach ministerstwa, nie raz żałowała owego mieszkania na Chaussée d'Antin, gdzie rzadko wprawdzie, ale zdarzały się jednakże, rozkoszne sam na sam, tak podobne do miodowych miesięcy z Grenobli, spędzane na poufnej gawędce, zamianie myśli, nadziei, wspomnień — niestety! już wspomnień!... Czasami też, pod wpływem tych wrażeń, mówiła do męża, ciągle rozpromienionego jeszcze i zachwyconego swem wywyższeniem:

— Czy wiesz, jak mi się wydaje w tym pałacu?... jakbym była w hotelu!

— I masz słuszność, moja droga — odpowiadał wesoło Vaudrey — jest to hotel, ale w hotelu tym mieszka wola Francji!

— Nie mówiłam tego w rodzaju wymówki— wiesz przecież, że jeżeli ty jesteś zadowolony...

— I bardzo zadowolony! Teraz dopiero pokażę światu czem jestem!... Zobaczysz, Adrjanno, czego dokonam i czem zostanę — w ciągu jednego roku!

W ciągu roku jednego!....

(Ciąg dalszy nastąpi).

PISMIENNICTWO.

Niedawno ukazała się najnowsza praca K. Estreichera o młodości W. Pola i o jego otoczeniu. Oto co J. I. Kraszewski pisze o niej w „Biesiadzie literackiej“:

„Doszło nas teraz w osobnej odbitce bardzo zajmujące studjum o Wincentego Pola młodości i jego otoczeniu (1807—1832), przez K. Estreichera (Lwów. Gubrynowicz i Schmidt), poprzednio ogłaszane we Lwowskim Przewodniku. Odczytaliśmy je chciwie, i ze zdumieniem dowiedzieliśmy się z przypisku, na końcu umieszczonego, iż na autora praca ta jego ściągnęła... listy pełne gróźb i obelg!...

Nim coś o samej powiemy książce, musimy z bolem serca dotknąć naprzód tego zasmucającego faktu, że u nas dotąd źle zrozumiany jakiś patrjotyzm sądzi się uprawnionym do gwałtownego zamykania ust tym, którzy mu nie wtórują. Walczyliśmy zawsze za zupełną swobodę opinij i poglądów, chociażby one nasze uczucia i pojęcia najboleśniej raniły; przy zasadzie tej uporczywie trwamy. Niech każdy mówi co myśli, aby z walki sprzecznych zdań prawda się wyłoniła. Swoboda przekonań jest podstawą normalnego rozwoju każdego cywilizowanego społeczeństwa, a chorobliwy tylko stan nie znosi przeciwieństwa i posługuje się zamykaniem ust pięściami...

Za co zresztą obrzucono obelgami autora — jest dla nas niepojętem, niezrozumiałem... Z miłością dla poety Estreicher zebrał najdrobniejsze szczegóły o jego pochodzeniu i młodych latach... miłości tej dał tyle dowodów w swej książce — iż go o jakąś złą wolę brak intelegencji tylko może posądzać. Że Pol pochodził z rodziny niemieckiej, nie tylko to nie ujmuje zasłudze jego, dostojności, znaczeniu, ale podnosi go i droższym nam go czyni. Był Polakiem nie krwią może, ale duchem, z wyboru, z serca. Tak samo rodem pierwiastkowo nie naszym, wykazują się ludzie wielkich zasług i najgorętszego do kraju przywiązania. Tak samo Libelt, Kremer, zasłużony nasz prezes akademii Majer i tylu innych noszą nazwiska obco brzmiące, choć serca polskie mieli. To pomięszanie narodowości nie u nas tylko widzimy: Niemcy się chlubią swoim Chamisso, Dubois-Rajmond i w liczbie swych jenerałów mają imiona Polaków, którzy już prusakami się stali. Francja przyswoiła sobie Wołowskiego i wielu Alzatczyków o nazwiskach niemiecko brzmiących. Kwestja narodowości nie jest kwestją krwi i imienia, ale wolnej woli i ducha człowieka. Wśród poetów hiszpańskich jedno z najzaszczytniejszych miejsc — zajmuje Niemiec... Przykładów tych pożyczek wzajemnych jest tysiące... Nikt z pewnością, oprócz ludzi małego i ciasnego umysłu, ani Polowi za złe nie weźmie pochodzenia, ani Estreicherowi tego, że je sumiennie wyjaśnił i stosunki rodzinne poety jasno nam przedstawił.

Praca Estreichera o poecie jest tem pożądańszą i cenniejszą, że nasz niezmordowany bibliograf na ten raz czerpania z książek wyrzekł się, a głównie oparł ją na nieznanych dokumentach, listach, notatkach i podaniach ustnych, które się najprędzej zacierają, giną i przeistaczają. Rzecz to żywa i z żywota wzięta, a ze znaną, właściwą Estreicherowi rzutkością i śmiałością wykonana.

Nic go nie pęta, jest to zawsze głosiciel prawdy i przekonania, choćby wbrew wszystkim i prądowi ogólnemu. Właśnie to największą jest pisarza zaletą. Panegirystów, omówień, apologij znajdzie się dosyć zawsze — mało kto ma odwagę wypowiedzieć, co do smaku ogółowi nie przypada.

Ze studjum tego jasno występuje jeden niemal nowy fakt, to, że mieszczaństwo, to ziarno średniego stanu, który u nas nigdy silniej rozwinąć się nie mógł, szło w uczuciach, w przekonaniach, a nawet w obyczajach ze szlachtą w parze i że stare rody mieszczańskie miały tradycje swe równie polskie jak najświetniejsze rody. Pol pierwsze wrażenia, pierwsze ziarna późniejszych swych, tak dobitnie szlacheckich pojęć, wyniósł z domu Ziętkiewiczów, z kół przeważnie mieszczańskich. Ziętkiewiczowie, kontuszowi i wąsaci, nie tylko nie przyznawali się do szlachectwa, ale gdy jednemu z nich, za wspaniały dar uczyniony dla miasta, nadać je chciano, odpowiedział:

— Moje stare mieszczaństwo więcej warto niż nowe szlachectwo.

To co z dawniejszych czasów daje nam pamiętniczek kupca krakowskiego, wydany przez prof. Kubalę, potwierdza studjum Estreichera,

ale o życiu i sprawach mieszczan mało mamy wiadomości, a bogate mieszczaństwo krakowskie, jak wiemy, już od XVI wieku gwałtownie przechodziło i cisnęło się do szlachty, w której utonęło.

Wiele ciekawych w tym przedmiocie faktów dostarczy studjum nasze z pierwszej połowy XVII wieku, na niewydanych źródłach oparte, nad którem pracujemy.

Lecz powróćmy do Pola. Estreicher zebrał tu z zadziwiającą bibliografa skrzętnością najdrobniejsze o rodzinie szczegóły i co się tylko dało znaleźć do genezy poetycznego daru. Są to pierwsze prace, pierwsze natchnienia, pierwsze nieforemne próby, — są listy, jest cały prawie obraz młodzieńczych lat, które rozpoczynają tę dolę, męczeńską prawdziwie, człowieka walczącego z losem aż do ostatniej chwili. — Najmniej daje się wyjaśnić epizod podróży do Wilna i otrzymanej tam katedry, o której my współcześni nigdyśmy ani słyszeli, ani ona się nam zdaje możliwą, chyba, jak przypuszcza Estreicher, była ona słownem jakiemś zapewnieniem następstwa po starym Haustejnie.

W bardzo obfitej we wspomnienia korespondencji prof. Gronostajskiego z Hip. Klimaczewskim, która się nam po zgonie jego dostała, nie ma nigdzie wspomnienia o Polu, choć Gronostajski, wedle podania innych, razem z nim miał wyjść z Wilna. Jest to chwila ciemna i dotąd nie dająca się lepiej wyjaśnić. Nad szczupłą liczbę pewnych danych nie mamy więcej nic. Tłumaczy się to naturą wypadków, warunkami czasu, a dziś, gdy współcześni wymarli, trudno się nawet spodziewać ściślejszego oznaczenia dat i faktów. Profesura, przez protekcją Jochera, była *in spe*, lecz rzeczywiście nie mogła istnieć oficjalnie. W pierwszych miesiącach 1831 roku już tu nikt o przyszłości na podstawie tego co istniało nie myślał, uniwersytet był w zupełnym rozstroju.

Do studjum dodaje Estreicher trzydzieści pięć poezji Pola, nie objętych wydaniem dzieł jego, które — nawiasowo mówiąc — nie dosyć się rozpowszechniło. Z tych mało ma wyższą wartość, ale wszystkie godziło się zachować od zagłady jako pamiątki. Najpiękniejszy jest mało znany wiersz z r. 1840, do Albnm Guttenberga:

Na wielką ucztę światła i wesela,
Na wielką ucztę czci narodów mnogich,
Podług słów świętych Boga Zbawiciela,
Przyjmijcie do stołu waszego ubogich.

A gdzie szczęśliwych narodów ofiary
I wzniosłe pieśni i bogate dary,
Na ołtarz leją wielkiemu mężowi,
Niech Lach położy w milczeniu grosz wdowi.

Chór Lachów.

Ciebie Guttenbergu, Ciebie!
Sławi lud głosy lackiemi!
Bóg stworzył światło na niebie,
Tyś rozsiał światło po ziemi.

Nie jednę by jeszcze, wartą wyjaśnienia kwestją ze studjum dobyć można, w którem jest dotkniętą pobieżnie. Tak Estreicher słusznie i śmiało wykazuje, jak wielki i zbawienny wpływ miało bliższe obznajomienie się z literaturą niemiecką, bez której — powiada — nie mielibyśmy Mickiewicza. Prawda to niezaprzeczona, i ani Niemców, jak Pol, ani zbawiennego wpływu nauki i piśmiennictwa wypierać się nie potrzeba. Obowiązkiem jest ludów cywilizowanych dorobkiem swym dzielić się — obowiązkiem z niego korzystać. Niemcy wiele zawdzięczają narodom latyńskim, a to co od nich wzięli, na własność swą przerobić umieli; tak samo i my nie zapożyczaliśmy surowego nic, aleśmy w krew i soki żywotne pokarm ten przeistoczyli. Dzisiaj istotną naszą wyższością, którą się chlubić możemy, jest to, że znamy niemieckie, francuskie i inne piśmiennictwa, gdy w każdej z tych literatur panuje niemal zastój i ciasnota, z powodu niesłusznej wzgardy dla innych narodowości."

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bartoszewicz Julian.* Anna Jagiellonka. 2 tomy w jednym, 8-ka. str. 496. Kraków 1882. 3 złr. 50 ct.

— Ćwikliński Henryk. Tajemnice nieba i piekła. Powieść oryginalna z XVIII wieku. Zeszyt I 8-ka. str. 32. Lwów 1881. 45 ct.

— Czołowski E. Rocznice przypadające w każdym dniu ważniejszych epok historji i poczet panujących książąt i królów polskich od roku 550. do 1795. 8-ka. str. 26. Przemyśl 1881. 30 ct.

— *Eurypides.* Ifigenja w Taurydzie. Tragedja, przekład Z. Węglewskiego. 8-ka. str. 73. Poznań 1881. 60 ct.

— *Eurypides.* Ifigenja w Anlidzie. Tragedja, przekład Z. Węclewskiego. 8-ka. str. 85. Poznań 1881. 60 ct.

— *Fredro Jan Aleks.* Komedje, tom III. IV. Obce żywioły. — Kalosze. — Trzy domina. — Wielkie bractwo. — Ubogi czy bogaty? — Próba przedstawienia amatorskiego. 8-ka. str. 313. 345. Warszawa 1881. 3 złr.

— *Gliński Henryk.* Tylko doktor. Szkic powieściowy. 8-ka. str. 113. Warszawa 1882. 1 zł. 5 ct.

— *Gorzkowski M.* Z Białej Krynicy, stolicy starowierców rosyjskich. 8-ka. str. 97. Kraków 1881. 75 ct.

— *Kiliński Jan.* Pamiętniki (Bibljoteki Mrówki, tomik 134. 135) 16-ka. str. 140. Lwów 1881. 40 ct.

— *Kodeks dyplomatyczny* Wielkopolski obejmujący dokumenta tak już drukowane, jak dotąd nieogłoszone sięgające do roku 1400. Wydany staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego tom IV 4-o. str. 389. tablice, pieczęci, mapa, 8 złr. 40 ct.

— *Kraszewski J. I.* Ciche wody. Powieść współczesna 3 tomy 8-ka str. 200. 203. 200. Wilno 1881. 3 złr. 60 ct.

— *Kraszewski J. I.* Sama jedna. Powieść współczesna 2 tomy 8-ka. str. 208. 207. Warszawa 1881. 2 złr. 70 ct.

— *Roszkowski prof. dr. Gustaw.* O oksfordzkim projekcie wojny lądowej w porównaniu z prawem francuzkiem, hollenderskiem i rosyjskiem, oraz z deklaracją brukselską. 8-ka str. 68. Kraków 1881. 1 złr.

— *Rudnicka Zofia.* Obrazki z życia i prawdy tom II zawiera: Dwóch mężów. — Za radą przyjaciółki. — Palejowa córka. 8-ka str. 122. Lwów 1881 1 złr. 50 ct.

— *Semeneńko Piotr O.* Mowa pochwalna na cześć Śś. Cyryla i Metodego, apostołów słowiańskich. 8-ka. str. 53. Kraków 1881. 30 ct.

— *Sempronius.* O socjalizmie wobec potrzeby poprawy społecznej. 8-ka. str. 129. Kraków 1881 50 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Historja „kart korespondencyjnych."

Wynalazcą „kart korespondencyjnych" jest dyrektor poczt w Niemczech, p. Stefani.

Zaproponował on używanie tych kart jeszcze w roku 1865, lecz propozycja została odrzuconą w roku 1869 (!) przez północny związek niemiecki.

Weszły one w użycie dopiero w czerwcu r. 1870.

Podczas wojny francusko-pruskiej wysłano do niemieckiej armji 20.000,000 „kart korespodencyjnych".

We Francji przyjęte one zostały w październiku 1873 r., lecz dopiero w 1874 r. poczęto je używać; wogóle jednak najmniej rozchodzą się one we Francji.

Z liczby 350.000.000, rozesłanych w ciągu r. 1879 w Europie, 123.000,000 przypada na Niemcy.

W Stanach Zjednoczonych roczna produkcja wynosi do 250.000,000.

*** Najnowszem amerykańskiem przedsiębiorstwem spekulacyjnem jest pływająca ekspedycja gazet.

Potrzebne lokale urządzone są na statku, który nieprzerwanie odbywa podróż po Missisipi od Memphis aż do Nowego Orleanu w dół rzeki i pod górę.

Statek redakcyjny zatrzymuje się we wszystkich znaczniejszych miejscowościach i zbiera wiadomości interesujące okolicę sąsiednią tej olbrzymiej rzeki i wnętrze Ameryki północnej.

Osobne lokale dla redakcji, biura ekspedycyjnego, dla zecerów i maszyn, sypialnie dla całego personalu, sala jadalna i kuchnia znajdują pomieszczenie na parowcu!

Nie zapomniano też o pomieszczeniu stosownem dla koni, używanych przez sprawozdawców do wycieczek w okolice po... nowiny!

*** *Economiste français* podaje niektóre cyfry dotyczące zbiorów w roku bieżącym.

W Anglji zbiór zboża niższy o 10% od średniego, tak samo jęczmienia, owsa o 20% niższy.

W Austro-Węgrzech zbiory, biorąc ogółem, są dobre. Plony żyta i jęczmienia są wyższe od średniego. Żyto o wiele przewyższyło średni zbiór, a owies cokolwiek lepszy.

We Włoszech zbiory średnie.

W prowincjach naddunajskich Turcji zboża są średniej dobroci. Owies dobry i obfity. Jęczmień jest w złym gatunku.

W Rosji obrodził się najosobliwiej jęczmień. Plon żyta bogaty.

Zboże w Niemczech dobre.

W Szwajcarji zboże nie obfite, lecz za to w bardzo dobrym gatunku. Jęczmień i owies dobre.

W Belgji, zboża pod względem ilości nie dorównały zbiorom średnim.

W Holandji zboża wyśmienite.

W stanach Zjednoczonych produkcja nie dorównała przeciętnej.

Z Drukarni „Gazety Narodowej"

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.